ROZMAITOŚCI.

Dnia 30 maja, Nr 22. roku 1846.

JÓZEFINA.

W smakownie urządzonym buduarze, przy ulicy Provence w Paryżu, siedziały dwie młode damy i rozmawiały; jedna, żywa i drażliwa, popiérała każde swoje słowo wyrazistym, dobitnym ruchem. Okrągławą twarz jéj otaczały bujne szatynowe włosy, a zpod długich czarnych rzęs wybłyskiwało dwoje ognistych ciemnych oczu, których harde, rzutkie spojrzenia najuporczywszy charakter, ale oraz najniepowściągliwszą swobodę i niepodległość, znamionowały. Druga była blada, posępna, przypominająca mgławe bohaterki ossyjańskie; rysy jéj twarzy odznaczały się owym tęsknym, chorowitym wyrazem, który poetów tak niewymownie pociąga; jéj prześlicznie wykrojone oczy, patrzyły w świat błogo marząco i tkliwie! Ręce miała nadzwyczaj drobne i piękne, a po całéj jéj postaci, rozlany był jakiś dziwnie nadobny wdzięk i urok. W pojedyńczym ale bardzo smakownym stroju poranym, siedziała ona na wytworném *tête-à-tête*, naprzeciw swojéj przyjaciółki, i mówiła:

»A więc'eś mnie przecież nie zapomniała, moja droga Amalijo; jużto cztéry lat temu, jakeś poszła za Władysława i wyjechała do Warszawy, a przecież jeszcze o swojéj towarzyszce młodości pamiętasz!»

»I mogłażbym cię była zapomnieć!« odpowiedziała Amalija. „Ciebie, moją najlepszą, najszczérszą przyjaciółkę, ciebie, z którą najpiękniejsze dni młodocianego wieku spędziłam! O, to byłoby dla mnie niepodobieństwem. Jak tylko przybyłam do Paryża, piérwszą moją myślą było odwidzić ciebie, i oto masz mię znowu!»

»O, jakże się cieszę z tego!»

»I ja też nie mniéj, bądź pewna!»

»Rozumié się, że już przez cały dzień u mnie zostaniesz.»

»Sama już o tém myślałam, i stosownie do téj myśli już się urządziłam. Mąż mój przybył tu z polecenia rządu i będzie miał różne pilne sprawunki do załatwienia, a zatém nie może w piérwszych dniach mną wiele się zajmować. Więc miło mi będzie dni kilka spędzić z tobą razem, i sądzę, iż mamy wiele sobie do opowiedzenia. Wszakże mówmy też i o tobie; tak długo nie miałam żadnych wiadomości od ciebie! W rok po moim wyjeździe do Warszawy, poszłaś za mąż, słyszałam. Spodziéwam się, iż mi przedstawisz swego małżonka. Tymczasem opisz mi go pokrótce. Zapewne jest on młodym, lecz czy jest blondyn czy brunet, słusznego wzrostu czy niski, nosiż brodę, jakto teraz jest w modzie, chociaż mi się to bardzo nie podoba — ? No, czegoż milczysz? Spuszczasz w dół oczy? Jestżeś może nieszczęśliwą z swoim mężem...?»

„Jestem wdową;" odrzekła Paryżanka.

„Przebóg! Już wdową!" zawołała Amalija i zamilkła na chwilę. »O, przebacz mi, przebacz, kochana Józefino! Niechcący, obudziłam przykre wspomnienie w twojéj duszy. Żyłyśmy tak długo rozłączone, bez wiadomości o sobie! Lecz wynagrodzimy tę stratę. Musisz mi dokładnie opowiedzieć wszystko, co w tym czasie przeżyłaś, i ja też nie zamilczę ci żadnéj drobnostki z mego życia. Na każdy wypadek musimy pozostać razem, dopóki bawić będę w Paryżu. Mój mąż jest bardzo grzeczny i uprzejmy, i nie omieszka żadnych starań, aby nam czas ten umilić...» — Takto trzepała gadatliwa i wesoła Amalija, chcąca rozerwać swoję posępną przyjaciółkę, gdy pośród téj pogadanki weszła pokojowa Józefiny i list jakiś doręczyła swéj pani.

Józefina zadrżała; na jéj bladém obliczu dało się postrzedz niezwyczajne wzruszenie.

„Pozwolisz, nie prawdaż?" ozwała się nieśmiało do przyjaciółki, i zaczęła czytać list otrzymany. Lica wdowy powiokły się żywszym rumieńcem; prawie było słychać, jak jéj serce biło, a ręce drgały. Odczytawszy list, złożyła go i zamknęła do biurka, poczém spoglądając posępnie na przyjaciółkę, rzekła: „Amalijo, cztéry lat rozstania, nie zmieniły uczuć najszczérszéj przyjaźni, która prawie wraz z nami wzrosła; i dziś jeszcze, jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a dla tego nie waham się powierzyć ci tajemnicę, któréj dotąd nikomu jeszcze w świecie nie objawiłam."

„Tajemnicę!" zawołała żywo Amalija. »O, mów, mów!» i przysunęła się bliżéj do przyjaciółki. »Słucham cię z uwagą! Tycze się to zapewne miłości, nieprawdaż? Coś podobnego zgaduję."

„Dziecinnaś!" rzekła wdowa, któréj posępność dziwnie od żywéj ciekawości przyjaciółki odbijała. „Lecz mniejsza o to; jestem o twojém dobrém sercu przekonana, i mogę ci się równie jak przed laty, zupełnie zwierzyć. Słuchaj więc: Od trzech lat jestem wdową. Mąż mój był bardzo zacnym człowiekiem i miał wiele wybornych przymiotów, lecz miał 30 lat więcéj ode mnie i umarł w ośm miesięcy po naszém zaślubieniu. Żałowałam go szczérze, lecz nie czuwszy namiętnéj miłości ku niemu, wkrótce się pocieszyłam. Otóż wystaw sobie moje terazniejsze położenie: jestem tak samotną, tak jedynie sobie oddaną, iż prawdziwie lękam się życia. Mam ja wprawdzie jeszcze matkę, która mię mocno kocha, lecz dla osoby, która ma lat 22, miłość matki nie może być dostateczną."

„Jestto bardzo słuszna uwaga;" rzekła Amalija.

»Pomiędzy młodymi ludźmi, którzy mi przypodobać się starają, jest osobliwie dwóch, odznaczających się znakomitémi zaletami; są oni obaj młodzi, bogaci i poważani.»

„Na tém więc stanęliśmy!" ozwała się Amalija półgłosem.

„Jeden z nich jest w biurze ministerstwa spraw wewnętrznych i słynie jako człowiek charakteru, któremu zresztą najświetniejsza przyszłość jest otwarta. Żyje on bardzo skromnie, bardzo spokojnie, i odróżnia się przezto od innych młodych ludzi swojego wieku; a jeźli mam dać wiarę przysięgom jego, więc jestem wyłącznym przedmiotem jego uczuć."

„Daruj, moja droga, iż ci przerywam: Sąto niezawodnie bardzo chwalebne zalety na małżonka, ale szczérze ci wyznam, iż te Katony o dwudziestu pięciu latach wcale mi się nie podobają; zbytnia roztropność nie jest wielką zaletą dla młodych ludzi— przezco jednak zasługom twojego wielbiciela bynajmniéj uwłaczać nie myślę."

»Jestto mężczyzna,"— dodała Józefina— „którego charakter bardzo poważam; żona, którą on sobie wybierze, będzie mogła pochlubić się tym wyborem."

„Rozumiém cię,"— przejęła Amalija — „to znaczy, iż on nie jest tym, którego ty kochasz."

»Przecież nie czuję żadnéj niechęci ku niemu."

„Lecz jego rywal daleko lepiéj ci się podobał."

„Drugi, jeźli mam wyznać prawdę, jestto: co zwykle *un mauvais sujet* nazywają. Jest go pełno i za kulisami, i w *Bois de Boulogne* i u *Tortoniego,* i we wszystkich podobnych miejscach. W kilku miesiącach stracił prawie cały majątek, który mu rodzice pozostawili. Przytém ma on jeszcze jednę szczególną namiętność: niekiedy opuszcza na dwa lub trzy tygodni swoich najlepszych przyjacioł; wieczorem był jeszcze na operze, a nazajutrz rano, nigdzie go już nie znajdzie, i nikt nie wie, co się z nim stało. Wyjechał, podróżuje, zwidza jakąś wieś, o któréj nikt nie słyszał, jakąś wilę, któréj nikt nie zna, a to w celu nabycia kawałka papiéru, na którym jakiś sławny człowiek przed laty kilka słówek napisał— zbiéra autografy."

»Osobliwsza namiętność!" ozwała się Amalija, coraz bliżéj do przyjaciółki się przysuwając.

„Jakoż posiada on w istocie rzadki zbiór autografów najsławniejszych mężów dawniejszych i naszych czasów, posiada kartki, które ogromnémi sumami przepłacił, posiada wreszcie inne, których przez intrygi i najdziwaczniejsze zabiegi nabył, jakotéż i takie, które mianowicie dla pewnych rodzin, jakich one dotyczą, nieoszacowanéj są wartości, i wieleby mu zato dano, aby je nazad od niego wydostać; lecz on na nic nie zważa i ciągle zbiéra a zbiéra."

„Osobliwsza namiętność!" powtórzyła przyjaciółka.

„I ten niegdyś tak rozrzutny człowiek," — mówiła daléj Józefina— „który nawet często przy zielonych stolikach przesiadywał, stał się teraz łagodnym jak baranek, a oszczędnym jak początkujący urzędnik o tysiącu franków."

»Pojmuję bardzo łatwo. O nieszczęśliwy rywalu!"

„Gdybyś widziała, jak on mię czule za rękę nieraz trzyma, jak on ją do serca przyciska, z jakim zapałem on wieczną miłość mi przysięga!»

„O, nieszczęśliwy rywalu!»

»I ten niegdyś tak lekkomyślny człowiek zaniechał klubów dżokejów, wyrzekł się związków z tancérką od opery, która z miłości dla niego, ofiary bardzo znakomitéj osoby odrzuciła..."

„Wszakże ty prawdziwie cudów dokazujesz!" zawołała Amalija.

»Posłuchajże dopiero, jakiego największego cudu dokazałam: miesiąc temu, chciał wyjechać do Hiszpanii, z powodu jakiegoś bardzo ciekawego rękopismu, który, jak mi powiadał, u pewnego Żyda się znajduje. W wieczór przed wyjazdem rzucił mi się do nóg — nie mogłam się dłużéj oprzéć jego miłośnym spojrzeniom, jego namiętnym przysięgom, jego niezmiennéj, wiecznéj wierności zaklęciom, przyrzekłam mu rękę moję — wszakże pod jednym warunkiem."

„A ten był?"

„Zażądałam od niego dowodu miłości. Musiał odłożyć swoję podróż do Hiszpanii; uczynił to wprawdzie z niechęcią, lecz był posłusznym. Prócz tego zażądałam jeszcze, aby na miesiąc Paryż opuścił, i do swojéj majętności Sarcelles odjechał, i przez całe cztéry tygodnie, nikogo ze swoich dawnych przyjacioł nie przyjmując, tam pozostał. Przezto miał mi on okazać, iż chce i może poskromić dawne nałogi i namiętności, że jego miłość dla mnie

jest dość silną, aby wszystkie inne skłonności i narowy stłumić zdołała, — a dopiéro po szczęśliwém odbyciu téj próby, przyrzekłam oddać mu rękę.»

„Ten warunek, jakkolwiek mi się dziwnym wydaje, nie jest zbyt trudnym do wypełnienia.»

„Nie znasz go, moja Amalijo! Przy jego nadzwyczajnéj żywości, przy jego niezbędnéj potrzebie ciągłego ruchu pomiędzy ludźmi, którzy do niego są podobni, tylko cud lub szczera, prawdziwa miłość, dokazać tego może, aby on przez trzydzieści dni na jedném i témsamém miejscu mógł pozostać.»

„Masz słuszność. Modniś, który trzydzieści dni przeżyć zdoła, nie pokazując się ani na operze, ani ani w *Café de Paris*, wyrzekając się przez ten czas wszelkich swoich miłostek, musi rzeczywiście być osobliwszą istotą, a przynajmniéj przemienić się w wcale innego człowieka, niż był dawniéj.»

„Żartujesz sobie! Ale chciałam się przekonać, czy on istotnie przez ten czas był w Sarcelles, i przeto pozwoliłam mu, codziennie do mnie pisywać. Jego pismo i znak pocztowy, są mi dowodem jego posłuszeństwa.»

„I cóż więc?»

„Otóż dzisiaj kończy się miesiąc, a list, który właśnie otrzymałam, oznajmia mi, iż pan Ernest de M.... jeszcze dziś w wieczór przybędzie, aby mi przyrzeczenie moje przypomnieć.»

„Ernest de M...!» zawołała Amalija. »I ten czuły, cnotliwy kochanek, nazywa się Ernest de M...? Podróżuje po całéj Europie w celu zbiérania autografów, a jest słusznego wzrostu, smukły, brunatny, ma bardzo łagodny głos, i nosi wąsy?»

„Znasz go więc? Jestto ten sam.»

„Moja droga Józefino, jeżli tak, tedy mogę ci dać dobrą radę: idź za mąż za urzędnika, a pana Ernesta de M.... odpraw coprędzéj.»

»Mam iść za pana Dubois, a toż dla czego?»

»Posłuchaj mię, zostań panią Dubois.»

„Ale zaklinam cię! Wytłumacz się jaśniéj...»

„Mam ci się jaśniéj wytłumaczyć? A więc dobrze, byleś na mnie się nie gniewała.»

„Nie, nie! Tylko mów! Proszę cię!»

„Przede wszystkiém: czy ty hrabiego Ernesta de M.... istotnie kochasz?»

„....Podobał mi sie...»

„A gdyby on też nie dotrzymał słowa, gdyby, podczas gdy ty myślisz, iż on dla ciebie w Sarcelles samotne życie pędzi, on tymczasem rzeczywiście o sto mil ze swoimi przyjaciołmi się weselił — czyżbyś miała dość nad sobą władzy, abyś dane mu słowo cofnęła?»

»Miałabym niezawodnie, jeżeliby nie zachodziły okoliczności, któreby go zupełnie usprawiedliwiały.»

„Gdyby on na przekor swoim przysięgom i ślubom, przecież niegodziwie cię oszukiwał, i uprzednio już napisane listy codziennie w Sarcelles na pocztę oddawać był rozkazał?»

„O nie, to niepodobna.»

„Gdyby on pomimo danego przyrzeczenia ciągle grywał i znaczne sumy tracił?»

„Ależ mój Boże, pocóżto mię się tak pytasz?»

»Muszę cię jeszcze po raz ostatni zapytać: gdybyż on mimo swojego przyrzeczenia, przecież wciąż grywał, czyżbyś mu i natenczas przebaczyła?»

„Byłoby mi to zapewne trudno, lecz gdyby nic innego przeciw niemu nie świadczyło... tedy być może.»

„A gdybyż on tymczasem do innéj kobiéty był się umizgał?»

„Ha, natenczas byłby niegodziwcem! Lecz proszę cię... wytłumacz się.»

»Pozwól mi skończyć: Gdyby on tymczasem do do innéj kobiéty był się umizgał, gdyby on przez ten cały miesiąc krok w krok za nią był chodził, gdyby ją o schadzkę był prosił, gdyby jéj był w liście pisał, iż się dla niéj zabije — ?»

„Dowodu, dowodu na to!» krzyknęła Józefina stłumionym głosem. „Przekonaj mię, a będę nim pogardzała, nie obaczę go więcéj!»

»Natychmiast; zawołaj tu swoję pokojowę i daj mi kawałek papiéru.»

Amalija napisała słów kilka na karteczce.

Weszła pokojowa.

»Moja panno,» — rzekła do niéj Amalija — »zanieś tę kartkę do mojego mieszkania; dadzą ci tam małą skrzyneczkę, którą nam tu prędko przyniesiesz.» Poczém obróciła się do Józefiny, która płacząc w kącie kanapy siedziała, i ozwała się do niéj: »Wkrótce lepiéj mię pojmiesz. Chcesz abym cię przekonała o niewierności twego kochanka, przekonam cię najdowodniéj, najoczywiściéj.»

Biédna Józefina była w okropnéj trwodze; widziała ona, iż tu jakaś tajemnica zachodzi, lecz jakże Amalija, która właśnie z Warszawy przyjechała, tajemnicę tę wiedzieć mogła, i lepiéj od saméj Józefiny znać całą sprawę, która przecież wcale obcą jéj była?

„Jestto zbieg dziwnych okoliczności,» — rzekła Amalija z powagą — »i obaczysz, jak dobrze sie stało, żeś mi swoje serce odkryła. Samto Bóg dopuścić nie chciał, abyś nieszczęśliwą została. Posłuchaj, moja kochana Józefino, co tu powiém, zanim pokojowa powróci. Jużto sześć tygodni temu, jakeśmy z Warszawy wyjechali. Mój mąż miał po drodze w różnych miastach niemieckich sprawunki, a ja tymczasem, wraz z jego siostrą, udałyśmy się na kilka tygodni do Baden, zkąd nas Władysław w dalszą zabrać miał drogę. Otóż zaraz w pierwszych dniach mojego pobytu w Baden, ujęłam sobie niechcący najwytworniejszego modnisia paryzkiego, który tam bawił, a przysięgam ci na wszystko, iż mu

niczém powodu do jego zajęcia się mną nie dałam. Mogęż jednak zabronić, aby się ktoś we mnie nie rozkochał, aby mnie nie ubóstwiał, jak ci panowie mówić zwykli!" dodała Amalija żartobliwie. »W kąpielach łatwo jest zabrać znajomość. Lecz widzę, iż jesteś niecierpliwą, i dla tego krótko ci wszystko opowiém. Jednego wieczora tańczyłam z moim nieproszonym wielbicielem; wtém wypada mi róża z włosów; on ją chwyta i tysięczne powody do zatrzymania jéj wynajduje. Nazajutrz odbiéram od niego list, w którym o wyznaczenie mu chwili widzenia się prosi. Jak widzisz, spieszyło mu się, jakoż nie tracił czasu, i nie uwodząc się żadnémi skrupułami, napisał wręcz, iż się zabije, jeźli prośbie jego odmówię i t. d. Widząc, iż przybycie mojego męża téj sprawie nieprzyjemny obrót dać może, wzięłam konie i wyjechałam."

»Ależ nie pojmuję, jakim sposobem to wszystko mnie się dotyczeć może?"

W téj chwili wróciła pokojowa i oddała Amalii małą, ozdobną skrzyneczkę. Ta wyjęła kluczyk z zanadrza, otworzyła ją, dobyła zpomiędzy papiérów list wspomniony i podała go Józefinie.

»Oto jest dowód,"— rzekła — „odpowie on lepiéj ode mnie na twoje ostatnie zapytanie."

Józefina pobladła; poznała pismo hrabiego Ernesta de M... List opiewał jak następuje: „Pani, nadaremnie starałem się poskromić uczucia moje, nadaremnie chciałem pokonać tę miłość, która moje serce przemożnie owładła; siły moje nie starczą — muszę przemówić. Kocham cię pani! kocham namiętnie, zapamiętale, szalenie! Nie dość mi jest widzieć cię, gdzie cały świat cię widzi; proszę cię o chwilkę widzenia się na osobności. Amalijo! kocham cię! Zginę, jeżeli mnie nie wysłuchasz."

* *
*

O drugiéj godzinie po południu spojrzał hrabia Ernest de M... po raz ostatni w źwierciadło, mając iść w odwidziny. Przybył on rano z Baden i wybrał się właśnie do Józefiny. Nagle wszedł służący i list mu oddał. W liście stały tylko następujące cztéry wiersze:

»Mój panie! Jeźli pański zbiór autografów nie jest jeszcze zupełnym, tedy możesz go załączonym tu listem uzupełnić; będzieto jedna z ciekawszych osobliwości pańskiego zbioru. Józefina."

Byłto list, który Ernest do Amalii w Baden pisał.

Wielbiciel młodéj wdowy zmieszał się na chwilę. Obejrzał list na wszystkie strony, chcąc dojść rozwiązania téj zagadki, lecz nie mógł do niéj w żaden sposób znaleźć klucza.

„Ha!" ozwał się wreszcie sam do siebie. „Mój rywal wygrał!... z wielką szkodą moich wierzycieli!" Po tym krótkim monologu, udał się hrabia Ernest de M.... do *Café de Paris.*

We dwa miesięcy późniéj Józefina została panią Dubois.

Powietrze pokarmem.

Wszyscy wiedzą iż ziemia jest powietrzokręgiem opasana, lecz ta powietrznia nie służy jedynie ku pędzeniu okrętów, ku obracaniu wiatraków i ku pompowaniu wody, i owszem stanowi ona oraz zasobną spiżarnię niezbędnie potrzebnéj dla wszystkich stworzeń żywności. Ztémwszystkiém jestto pokarm wcale osobnego rodzaju; nie jest on ani od piątku ani od świątku, ani mięso ani ryba. A chociaż w powietrzu nie ma tak znacznéj różnicy jakości, jak np. między potrawą z kukurudzy prostego Wołocha a smacznym frykasikiem Paryżanina, przecież nie jest ono wszędzie i zawsze równie delikatném i smaczném. Najlepszą kuchmistrzynią jest wiosna, gdyż natenczas oczyszczony zimowémi mrozami eter jest tylko samym aromatycznym zapachem młodéj roślinności przesiąknięty; gorące lato już go płynnémi częściami za wiele przesyca; jesień nadaje mu jeszcze więcéj wodnistości, a w zimie jesteśmy nawet zmuszeni czerpać tę potrzebną nam żywność z ciasnego obrębu naszych mieszkań, w których powietrze na wielorakie przystępy nieczystości jest narażoném. Gdzie góry średniéj wysokości rozległémi przedzielone są dolinami, gdzie bujna roślinność panuje, gdzie nizkie krzewy z wysokiémi drzewy na przemian idą, gdzie wreszcie stojące wody szkodliwych wyziewów nie ronią; — tam najlepszéj jakości jest powietrze, i tam téż niech spieszy każdy, kto się chce pokrzepić tym darem nieba.

Z tegoto ogromnego napowietrznego morza można hojno i dowoli czerpać, nie obawiając się bynajmniéj, że zasobu i przedsobu zabraknie, lub że wielki gospodnik świata, z powodu zbytniego tłumu gości, będzie zmuszonym rozcieńczać napój; obliczono bowiem, iż 1000 milijonów ludzi w 10.000 latach nie więcéj nad $\frac{1}{10}$ proc. całego zapasu spożyćby mogło.

Tym bożym darem każdy bezpłatnie jest raczony, a gdybyśmy się niewiedzieć jak chciwie nim częstowali, przecież nie potrzebujemy żadnego płacić rachunku, i mamy zawsze wolny i otwarty stół dla siebie. Nie potrzeba nawet żadnych naczyń, ani rąk i palców do téj potrawy, lecz samych tylko otwartych ust, jak do mówienia prawdy, i przestronnéj piersi, jak do przyjaźni. Już każde nowonarodzone niemowlę umié brać tę potrawę, i zachowuje się jaknajprzyzwoiciéj u wielkiego ucztowego stołu natury.

Ten zaś swój przysmak podaje nam natura już w stanie najdrobniejszego rozkładu, tak dobrze urządzony, iż nie ma wcale potrzeby żuć go; a zgrzybiała bez zębów staruszka, jak i silny parobek o że-

łaznych szczękach, otrzymują go w równie strawnéj przyprawie. Bo też w istocie, źleby z nami, tak bardzo i rozmaicie zatrudnionémi ludźmi było, gdybyśmy tę niezbędnie potrzebną powietrzną strawę, dopiéro krajać, na widelce brać i żuć musieli; bo gdy dla utrzymania życia, nieustannie tym pokarmem zasilać się musimy, a nie jak przy innych potrawach, na pojedyńczych obiadach poprzestać możemy; tedy wypadłoby nam wszelkie inne sprawy życia ludzkiego w zaniedbanie puścić. Życie fizyczne podobne jest do palącéj się lampy, która tak długo świeci, jak długo dobrze urządzony knot wciąga olej w siebie, i która zaraz gaśnie, skoro podsytu niestanie, lub knot się wprzód strawi, chociażby jeszcze i oleju starczyło. Dla zwykłych naszych pokarmnych środków, jest nam taką lampową na olej puszką — nasz żołądek, który od czasu do czasu świéżym posiłkiem napełniamy, który tenże zasiłek drobi, roztwarza, przyprawia, i przez to samo, nieustannie pokarmu organizmowi dostarcza; aliści przy powietrznym pokarmie, już jego ulotna natura, którą gazem zowią, czyni takie przyrządzenie zbytecznem.

Powietrze, jak każdy inny pokarm, ma w sobie jednę część strawną, a drugą niestrawną; tamta bywa przez organizm urobioną i przyczynia się do jego wyżywienia, t. j. odnawia go nieustannie; ta zaś musi wraz z zużytémi, niejako zamarłémi już częściami ciała, być z organizmu wypartą. To, co przy oddechaniu wyziewamy, jest taką wypartą częścią, a przeto jest wymiotem w właściwém znaczeniu tego słowa. Panowie estetycy niech się na ten wyraz nie wzdrygają, gdyż prostoduszny badacz przyrody, rozumié pod tym wyrazem wszystko, co tylko organizm z siebie wytrąca i na zewnątrz wylania, przeco nawet i zapach róży i balsam rezedy, wymiotem u naturalistów jest zwanym.

Ową częścią powietrza, która nam istotnego pokarmu dostarcza, jest kwasoród, a dodatnią częścią niestrawną, jest azot. Obadwa mają się wzajem do siebie jak żywot do śmierci, a czynność do gnusności. Sam kwasoród bez dodatku azotu, przyprawiłby nas o śmierć z hypertrofii, t. j. przez zbytek życia, sam tylko azot sprowadziłby nam śmierć z uduszenia. Azot względem kwasorodu jestto siła uskramiająca, jestto *juste milieu*, zasada równowagę utrzymująca. Gdyby nam wielka giełda natury, tylko na chwilę wypłaty kwasorodu lub azotu odmówiła, skonalibyśmy wszyscy, bądźto z nadmiaru rozkosznéj błogości życia, lub też ze zbyt krótkiego oddechu.

Nazwaliśmy powietrze pokarmem, chociaż przysłowie głosi, iż powietrzem nikt nie żyje. Jakoż rzeczywiście, równie jest trudno żyć samémi z kuchni i piwnicy branémi posiłkami bez powietrza, jak też i powietrzem bez owych bardziéj materyjalnych przysmaków; jednakże oddając sprawiedliwość jednéj i drugiéj stronie; należy i powietrze témsamém prawem nazwać pokarmem co i kawałek chleba i sztukę mięsa. I ciekawą też zaiste byłoby rzeczą wyjaśnić sobie ścisły stosunek między témi dwoma rodzajami pożywienia. Życie jestto uzupełniacz utworów w objawę idących, które nie przez jego chemiczną naturę, uwarunkowaną formę biorą. Działalność życia pracuje nieustannie nad utworem nowych, a nad niszczeniem już będących organów; zkąd po kilku latach, wszelki organizm ciała, niepostrzeżenie całkiem jest przemieniony. Z tegoto powodu niektórzy lekkomyślni filozofowie chcieli wywieść wniosek, iż wszelkie umowy, ugody, jak np. związek małżeński, powinny tylko na kilka lat być ważne, gdyż po kilku latach nie ma już téj saméj ręki, co ten ślub zawarła, lecz jestto inna, nowa. Aby zaś te zmiany należycie rozwijać się mogły, potrzeba nato pewnéj ciągłéj, odpowiednéj temperatury, a organizm cielesny, musi ku temu mieć w swoim własnym domu, aparat ogrzéwający. W naszych zwykłych piecach tworzy się gorąco z węglika i wodorodu, jeżeli na nie kwasoród powietrza, wpłynąć może. Tożsamo dzieje się i w naszym żyjącym organizmie, gdy węglik i wodoród, pochodzące z zwyczajnych pokarmów naszych, zetkną się z wssanym w krew naszę kwasorodem; wtedyto wszczyna się proces palenia, wtedyto powstaje ciepło i utrzymuje grę sił chemicznych, które nowe organiczne kształty tworzą. Wynikiem tego aktu spalenia się, jest w nas to samo, co i w naszych piecach, to jest: kwas węglowy i woda. Obiedwie te części ulatują z ciał zwierząt żyjących, jużto porami skóry, jużto najwięcéj przez usta. Ztąd są te usta, z jednéj strony niejako zatyczką otworu miechu, którym powietrze, podsycające ogień żywotny, wpływa, z drugiéj zaś strony, są one kominem, którym owe z przepalenia się wynikłe szczątki, ulatują. Owa w zimie widocznie przy oddechaniu z ust ulotniająca się para, jestto pojawa dymu ze zgliszcza działalnego życia natury zwierzęcéj.

Z téj całéj rozprawki okazuje się, iż obadwa wymienione tu rodzaje żywności, wzajemnie sobie odpowiadają, i że zawsze jeden drugiego nieodzownie potrzebnym czyni.

Przygoda myśliwska w Afryce.

„Pewien podróżnik, należący do jednego z towarzystw missyjonarskich w południowéj Afryce," — opowiada znany powieściopisarz angielski, kapitan Marryat — „wracał samotny z odwidzin u kilku w sąsiedztwie mieszkających przyjaciół, i zeszedł nieco z drogi ku poblizkim zaroślom, spodziewając się upolować tam antylopę. Słońce wzniosło się już było wysoko, gdy nasz myśliwy na znane

sobie stanowisko zdążył, a że dość długo nadaremnie na zwierza czekał, więc położył strzelbę na ziemię pod odłom wystającej zpośród gęstych krzewów skały, napił się wody z płynącego w pobliżu zdroju, i wróciwszy pod skałę, zapalił sobie wygodnie fajkę. Po niejakim czasie dał się przemódz znużeniu, położył się i zasnął. Wkrótce jednak przebudził go żar promieni słonecznych, odbijających się od skały, a otworzywszy oczy, postrzegł ledwie o dwa kroki od siebie lwa ogromnego, który leżąc spokojnie na słońcu, bystro w oczy mu patrzył. Przez kilka minut nie mógł biedny myśliwiec przyjść do siebie z przestrachu, gdyż myślał, iż łada chwila lew na niego się rzuci. Jednakże wkrótce odzyskał przytomność i przypomniał sobie że ma strzelbę na podręczu; chciał już ukradkiem sięgnąć po nią, lecz skoro lew rękę przy strzelbie postrzegł, wzniósł natychmiast w górę głowę i zaryczał okropnie, co strzelca do szybkiego umknięcia ręki skłoniło.

Po niejakiej chwili chciał on znowu ująć strzelbę; ale i tym razem podniósł lew głowę w górę i zaryczał przeraźliwie, a strzelec musiał zaniechać strzelby. Tożsamo powtórzyło się po raz trzeci i czwarty; lew okazywał zawsze jednaką niechęć ku strzelbie a jego przeciwnik tężsamę obawę sroższego jeszcze rozdrażnienia potwory. Rzecz niewątpliwa, iż lew był ze zgubnémi skutkami broni palnéj obeznany, lecz nie zdawał się mieć zamiaru pokrzywdzenia swego sąsiada, a może chciał mu tylko powiedzieć: »Jesteś w mojéj mocy; nie możesz ruszyć się z miejsca; nie dotykaj się strzelby, aby mię nią zabić, albo w kawałki cię rozszarpię.”

Promienie słońca, łamiąc się o lśniącą ścianę skały, dogrzewały z taką siłą, iż nieszczęśliwy łowca niesłychane męczarnie znosił; jego obnażone nogi tak go boleśnie piekły, jakby je w ogniu trzymał; dla sprawienia sobie niejakiéj ulgi, przekładał wciąż jedną nogę na drugą, przezco jednak ból wcale się nie zmniejszał. Tak przeszły dzień cały i noc cała. Nazajutrz wzejszło znowuż wśród najpiękniejszéj pogody słońce, a gorąco znowu wzmogło się do tego stopnia, iż nogi biednego podróżnika wszelkie uczucie utraciły. Nad południem lew powstał i zwrócił się poważnym krokiem ku źródłu, które tylko o kilka sążni od skały wytryskiwało, lecz ciągle w tył się oglądając, uważał, czy jego przeciwnik się nie ruszy. Ten chciał teraz znowu dosięgnąć strzelby, ale ponury lew natychmiast to postrzegł, zjeżył grzywę i już zaniósł się skoczyć na nieprzyjaciela, lecz spieszne cofnięcie ręki, uspokoiło go znowuż; poszedł do źródła, napił się, wrócił spokojnie i znowu położył się na tem samem miejsu gdzie wprzódy, ledwie o krok od swego jeńca. Tak i druga noc przeminęła, a lew trwał ciągle w swoim uporze i nie zmieniał legowiska. Dnia następnego, przed południem, poszedł lew powtórnie do źródła, a usłyszawszy jakiś szelest w przeciwnéj stronie, prawie jednym skokiem zniknął w zaroślach.

Obaczywszy to nasz męczennik, ruszył się natychmiast z miejsca i sięgnął ręką po strzelbę, ale gdy chciał powstać, pokazało się, iż utracił wszelką władzę w nogach. Przyczołgał się więc z strzelbą w ręku do źródła i ugasił pożerające go pragnienie. Poczém przypatrując się bliżéj nogom, postrzegł, iż palce u nich były zupełnie spalone, i że przy czołganiu się po ziemi, skóra z nich całkiem zlazła. Pozostał więc na chwilę przy źródle, oczekując lwa powrotu, i mocno sobie przedsięwziął, łeb mu kulą roztrzaskać. Ale czekał nadaremnie, lew nie wrócił. Myśliwiec przewiązał sobie strzelbę przez plecy i jął co siły czołgać się naprzód i leźć rękami i kolanami po ziemi. Był on cały do ostatka wysilony, i byłby bez wątpienia nędznie śród lasu zginął, gdyby nie szczególna opieka opatrzności, która niespodzianie zesłała mu zbawcę, co go do domu zawlókł. Jednakże palce u nóg stracił nazawsze, a mała ochota myśliwska, zboczenia z drogi dla ubicia antylopy, nabawiła biednego łowcę kalectwa na całe życie.

Słuszność. Sprawiedliwość. Mylka. Pomyłka. Błąd. Obłąkanie. Prawda.

(Wywód psychologiczno-synonymiczny.)

Słuszność — wynikłość z uczucia i rozumu — prawda środkowa dwóch poboków. Rozum uznaje słuszność, a serce ją czuje. Słu-szność, słu-cha głosu rozumu i głosu uczucia, jest *słu*gą prawdy sumiennéj, prawdy miło-sierdnéj, prawdą ze środka umu i serdca idącą. Każdy mając słuszność własną, ma w swym środku prawo dobrze sobie czynić; ale każdy powinien mieć w tymże swoim środku i słuszność cudzą: mieć słuszność i dla drugich. Słuszność cudza i własna, czyni sprawę sprawiedliwą, bo z prawa człowieczéj natury idącą, i przeto samo takowa słuszność: jest podstawą wszelkiego prawa ustanowionego. — Gdzie wraz z poznaniem nié ma i uczucia prawdy, tam nié ma sumienia, a gdzie nié ma sumienia, tam nie może być ani słuszność ani sprawiedliwość —, i odwrotnie. — Że słuszność i sprawiedliwość nie są wynikiem z samego tylko czystego rozumu, służy nam w dowód: iż żadna umiejętność prawd oderwanych — abstrakcyjnych, np. matematycznych, nie odwołuje się ani do słuszności ani do sprawiedliwości. Ale że serce może dać się uwieśdź żądzą, a rozum błędem; więc słuszność, aby była sprawiedliwością, powinna się poddać krytyce i wytrzymać próbę rozsądku. Rozsądek

odnosząc prawdę ogólną, do szczególnéj —, i odwrotnie, czyni słuszność sprawiedliwą, a sprawiedliwość słuszną. — — Myłka, jestto pospiech, nieuwaga, niepostrzeżenie się w rachubie rozumu. Błąd idzie lub z niewiadomości, lub z powierzchnéj, mniemanéj, pozornéj prawdy: błąd idzie z niewzięcia prawdy z gruntu. Myłka, jestto mylne myślenie; pomyłka, jest myłką pomysłu. Błąd wynika z rozstroju rozumu i uczucia, lub z przewagi jednego nad drugiém, i może przejść w obłąkanie —, w obłęczność odśrodkową *).

Obłąkanie, jestto wybieżenie rozumu ze środka swego. W obłąkaniu, iż tak powiémy, biega rozum wkoło prawdy jako tułacz, który swą siedzibę utracił. Wiele jest przyczyn takiego stanu, takiego mienia się rozumu; najszkodliwszą jednakże rozgorzała fantazyja, lub w spłon idąca namiętność. — Zgoda uczucia z rozumem, stanowi istotną, *niewątpliwą prawdę* **). Tylko zégar rozumu i zégar smysłu, przez środek umysłu, jedném biciem tętna, w jednę zgodę nakręcany, wskazuje nam na szybie rozsądku, jednę, i rzetelną prawdę. *i. n. k.*

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 21ty i zawiera: 1) O nawozie patentowym Liebiga. 2) Jakie tuczenie bydła tańsze: nagłe czy powolne? Przez K. J. Turowskiego. 3) O owadach lasy niszczących. 4) Wiadomości handlowe.

Smak i rozum. »Wykształcenie rozumu« — mówi pewien nowy estetyk niemiecki — »wzięło w naszych czasach widocznie górę nad wykształceniem smaku. Jestto niezaprzeczoną prawdą, jakkolwiek uporczywie nasza miłość własna przeciw temu protestuje. Wszystkie nasze utwory sztuki, zwyczaje towarzyskiego życia, nasze dziwaczne *rococo* i chińskie dziecinne wymysły w sprzętach i ozdobach domowych, nawet nasze mody i stroje, równie jak ten nasz dzisiejszy manowcami wszystkich wieków błąkający się smak architektoniczny, który bez wahania się piękne kolumnady greckich świątyń do niezgrabnej skrzynkowej formy tegoczesnych koszar przylepia; wszystko to dowodzi najwidoczniej, iż nasze wykształcenie estetyczne coraz bardziéj niedołężnieje ***).

*) Obłędność jest objawą obłędliwości, t. j. objawą zarodu mnogich błędów. Obłąkanie wymaga upamiętania się, obłędność sprostowania etycznego lub racyonalnego.— Błąkający się z miejsca na miejsce —, wałęsa.

**) Pra-weda, pra-wda, wiedza pierwa, wrodzona; Ur-wahr-heit — *ver-ita*, ver-i-tas, non dubiosa; unzweifelhafte Wahrheit; prawda nie *dwupliwa*, veritas non duplex.

***) Do smaku ma każdy uroszczenie: bo jeden ma go na języku jako smak soczysty, a drugi jako Geschmak, smak już porównany, pod namysł wzięty; innemu jest on jako Gustus — w gardle, innemu jako Wkus, w kąszeniu; ztąd już językowo-smysłowa różnica, a dopieroż estetyczno-teoryjna! — Smak istotnie estetyczny, idzie — iż tak powiémy — przez alembik smysłu, klaruje się w uczuciu, krystalizuje na słońcu rozumu i objawia się w symetrycznym kształcie; jest on *zaplękną* idei śliczności dla oka, wonią dla węchu, słodko-śpiewem dla ucha, gładką okrągłością dla dotykania, harmoniją tego wszystkiego, dla wewnętrznego smysłu. *Przyp. Red.*

Telegrafy podwodne. Pomysł założenia telegrafu podwodnego między Angliją a Francyją, o czem już eśmy dawniéj wspomnieli, zostanie, jak się zdaje, uskutecznionym. Rządy obudwóch krajów dały wynaleźcom zezwolenie do założenia telegrafu podług ich systemu. Dwoma przeciwległémi punktami tegoż telegrafu, mają być we Francyi Cap Grisnez albo Cap Blaucnez, w Anglii zaś South-Cap. Z uczynionego pomiaru okazuje się, iż u wybrzeży, morze ma 7 sążni głębokości, zaś we środku kanału La Manche, gdzie morze jest najgłębsze, 37 sążni. — Zarazem otrzymali wynaleźcy zezwolenie admiralicyi angielskiéj założyć podobnyż telegraf podwodny między Dublinem a Holyhead. Ztamtąd ma on być przeprowadzonym daléj do Liwerpolu i do Londynu. Najprzód będzie założony angielsko-irlandzki telegraf, i sądzą, że już z początkiem czerwca w użycie wejdzie. Następnie rozpoczną się roboty około telegrafu przez kanał La Manche, który późniéj od wybrzeża aż do Paryża, a ztamtąd do Marsylii przeprowadzonym będzie. W razie powiedzenia się wspomnionego tu planu, zabiorą się wynaleźcy do zaprowadzenia swego systemu także na morzu śródziemném w celu połączenia Marsylii z Algierem. Niektórzy fizykowie powątpiewają w możliwość podobnego przedsięwzięcia, wszakże mnogie, najpomyślniéj odbyte próby nie tylko iż tę możliwość wykazały, lecz owszem dowiodły, że zakładanie podwodnych elektrycznych telegrafów nie podlega mnogim trudnościom.

Ilość czasopismów niemieckich. Podług obliczenia Gazety Elberfeldzkiéj wychodzi w Niemczech i krajach przyległych 799 czasopismów niemieckich; z tych przypada na Prusy 313, na królestwo saskie 104, na królestwo bawarskie 96, na królestwo wirtemberskie 43, na w. ks. badeńskie 40, na cesarstwo austryjackie 37, to jest na prowincyje niemieckie 26, a na prowincyje węgierskie 11.

Zamrażanie ludzi. Zginęło dla świata bardzo ważne odkrycie ze śmiercią swojego wynaleźcy. Dr. Obeuma, Szwed z urodzenia, wynalazł był, jakeśmy to w swoim czasie donieśli, sztukę zatrwalenia żywcem ludzi i źwierząt, to jest zamrażania ich na czas dowolny przez stopniowe zniżanie temperatury. Wszelako to odkrycie wzięło bardzo złe skutki dla samego uczonego doktora. Po urządzeniu bowiem kosztem rządowym wielkiego domu zamrażania dla skazanych na śmierć winowajców, uczynił dr. Obeuma wniosek zamrożenia całéj armii na czas pokoju, aby przeto skarbowi kosztów utrzymywania jéj oszczędzić. Lecz wiadomość o tym planie sprawiła powszechne zaburzenie pomiędzy żołnierzami. Nadaremnie przedstawiał im dr. Obeuma iż połowa żołdu przez czas ich snu sztucznego, w kasie oszczędności składaną będzie, i że przeto jako bogaci ludzie kiedyś znowu się przebudzą; nadaremnie przytaczał im przykład kilku ubogich synowców, którzy w nadziei zgonu swoich bogatych stryjów i wujów, aż do ich śmierci zamrozić się kazali — nic żołniérzy przekonać nie było w stanie; chcieli oni koniecznie żyć w jednym ciągu i bez przerwy. Ścigany przez zbuntowanych żołniérzy, musiał biédny doktor schronić się wreszcie do jednego ze swoich domów zamrażania, gdzie go nazajutrz rano samegoż zamarzniętym zastano. Mimo najstaranniejszego przetrząśnienia wszelkich papiérów nieboszczyka, nie znaleziono ani jednego świstka, dotyczącego téj ważnéj tajemnicy; będzie więc nieszczęśliwy wynalezca, musiał spoczywać w swoim śnie zamrożenia, aż póki ktoś drugi jego głębokiego umnictwa nanowo nie odkryje!

»Jest to czas płaczu, we łzach oczy mokną! Kometa miotłę wyściubia przez okno!« mówi kapucyn w »Obozie Wallensztejna«, a jego gadka aż podziśdzień się sprawdza. W nocy z dnia 24go na 25ty marca postrzeżono w Petersburgu podobny dziw na niebie, który wszystkich trwogą i zdumieniem napełnił. Pokazała się bowiem z północnéj strony w obłokach duża płomienista laska, która przez kilka chwil zupełnie prostopadle w powietrzu wisiała a potem w okrągły kłąb dymu się zamieniła; ten kłąb zmienił się znowu w mały słup mglisty, który późniéj powiększał się coraz znaczniéj, a wreszcie przybrał kształt olbrzymiego węża wijącego się po widokręgu. Całe to zjawisko na niebie trwało przez kilka minut i znikło ku zachodowi.

Bajka z Tysiąc i jednej nocy. W r. 1792 żył w Rzymie ubogi służący najemny, który zwykle na Piazza di Spagna bawił, oczekując tam cudzoziemców, którychby jako *cicerone* po mieście mógł oprowadzać. Znana jego gorliwość i uczciwość zjednały mu powszechną wziętość pomiędzy artystami i podróżnikami, którzy go sobie wzajemnie polecali. W owych czasach przedsiębrano ze strony rzeczypospolitéj francuzkiéj mnogie acz nadaremne usiłowania o zrewolucyjonizowanie Rzymu, a nasz *cicerone* z Piazza di Spagna służył francuzkiemu emisaryjuszowi de Basseville za tłumacza, i otrzymywał od niego znaczne sumy pieniędzy, aby niemi na lud stolicy działać. Wszakże te zabiegi przyniosły wcale przeciwny skutek: Basseville został sam przez poburzone pospólstwo zabitym a usługujący mu *cicerone* zniknął na zas niejaki. Wkrótce jednak pojawił on się znowu i ożeniwszy się z pewną wdową, skojarzył jéj mająteczek ze swojemi zdawna zaszczędzonémi skudami, jakoteż późniéj zebranémi asygnatami francuzkiemi. Odtąd nie był on już więcéj ulicznym *ciceronem*, lecz spekulował w rzymskie asygnaty, które późniéj w jego własnym domu drukowano. Wszystkie jego operacyje finansowe wiodły mu się bardzo szczęśliwie, wypożyczał korzystnie coraz znaczniejsze sumy, jak mianowicie na zastawione u niego klejnoty loretańskie, które jenerał Miollis był zabrał — słowem dorabiał się ogromnego majątku. Późniéj Letycyja Bonaparte, król Ludwik, książę Lucyjan, kardynał Fesz i inni złożyli u niego niezmierne sumy. Król hiszpański Karol IVty zrobił go grandem hiszp., a po zakupieniu posiadłości rodziny Odescalchi-Bracciano, były posługacz najemny, został książęciem Bracciano. Starszy jego syn, teraźniejszy książę Pola, ożenił się z księżniczką Cezaryną Sforza, młodszy z księżniczką Doria. Majątek jego liczą na 40 milijonów rzymskich skudów. Nazywa on się właściwie Torlonia.

Rodzina lekarska. W mieście Lille żyje lekarz, p. Asclar, mający 22 dzieci; z tych, 17 chłopców jest lekarzami, a 5 dziewcząt akuszerkami. Ojciec kończy teraz właśnie rok setny, doznaje najpomyślniejszego zdrowia i trudni się sam jeszcze wykonywaniem swojéj sztuki.

Wychodźtwo Żydów z Rosyi. P. Montefiore donosi z Petersburga, iż cesarz Mikołaj 10 tysiącom Żydów z Rosyi na zawsze wyjść dozwolił; miejsce ich osiedlenia ma sam p. Montefiore oznaczyć; spodziewają się iż on tych wychodźców do Palestyny wyprawi. Słychać także, iż p. Montefiore Galicyję odwidzi.

Kostium mytologijny. Na jedném z ostatnich przedstawień opery włoskiéj w Paryżu, odwidzanéj przez dobór wielkiego świata stolicy, postrzeżono niedawno młodą, przystojną damę, która mając zapewne po przedstawieniu na bal się udać, wystąpiła w przepysznéj toalecie, tém szczególniéj się odznaczającéj, iż szyja i ramiona były zupełnie odsłonięte, a gors sukni ledwie po krawędź loży sięgał. Wszystkie uzbrojone i nieuzbrojone oczy tkwiły nieustannie w pięknéj strojnisi, gdyż żadna inna z dam nie miała tak mytologijnego kostiumu. Pewien znawca uczynił uwagę, iż możnaby ją było porównać do Wenery, występującéj z morza. Między aktami spotkał małżonek téjże damy jednego ze swoich przyjaciół i zaprosił go do swojéj loży. »Poszedłbym chętnie,« odrzekł tenże, »lecz lękam się wykroczyć przeciw przyzwoitości?« — »Jak to rozumiesz?« spytał małżonek. — »Rozumiém, iż chcąc się przedstawić twojéj żonie, należy zaczekać, aż się ubierze.«

Pogrzeb na wyspie Guadeloupe. Między murzyńską ludnością wysp Antylskich panuje, dotąd wiele afrykańskich bałwochwalczych zwyczajów. Osobliwie ciekawym w tym względzie miał być pogrzeb pewnego murzyna, opisany w dziennikach francuzkich. Nieboszczyk był za życia kucharzem w Point-à-Pitre. Wszyscy też kucharze z całego miasta zgromadzili się w domu, zkąd pogrzeb miał wychodzić. Każdy miał na sobie, w oznakę profesyi, biały fartuch przy czarnych sukniach żałobnych, a oprócz tego przyniesiono także całą zbrojownię kuchenną, jakoto: noże, rynki, rondle, patelnie i t. d. Tuż za trumną postępowało poważnie kilkunastu murzynów z całkowitym, najstaranniéj przyrządzonym obiadem, który zdawał się być daleko stosowniejszym dla żyjących niż dla nieboszczyka. Wszystkie półmiski z kurczętami, sałatą, ciastami, szynką i t. d. były czarną krepą osłonięte. Od czasu do czasu odzywał się z pośród orszaku pogrzebnego przeraźliwy aczkolwiek stłumiony odgłos. Nie pochodził on jednak od żałujących przyjaciół, lecz od kur i kaczek, którym po drodze uroczyście głowy skręcano. Te odcięte głowy odrzucano na stronę, przezco cała ulica, którędy orszak przechodził, śladami krwi się okryła. Nakoniec wrzucano cały obiad w grób za trumną, a wszyscy obecni Murzyni wrócili do domów swoich w tém pocieszającém przekonaniu, iż nieboszczykowi w grobie na niczém zbywać nie będzie.

Różnica. Na pewnéj niemieckiéj kolei żelaznéj jechał raz w wagonie drugiéj klasy jakiś pan, sam jeden z nieznaną sobie damą. Chciał on rozpocząć rozmowę, lecz towarzyszka najprzód krótko a późniéj wcale nic nie odpowiadała. Nato nieznajomy zapalił sobie cygaro, z czego nierada nieznajoma, wiedząc iż w wagonach drugiéj klasy tylko za pozwoleniem reszty towarzystwa palić można, uszczypliwym rzekła tonem: »Pan zdajesz się nie znać różnicy miejsc na żelaznych kolejach.« — »I owszem,« odpowiedział jéj sąsiad, »zachodzi między niemi następująca różnica: Na trzeciém miejscu jest konduktor dla podróżnych niegrzecznym, na piérwszém miejscu są podróżni dla konduktora niegrzecznymi, a na drugiém miejscu są podróżni wzajemnie niegrzeczni dla siebie samych.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.